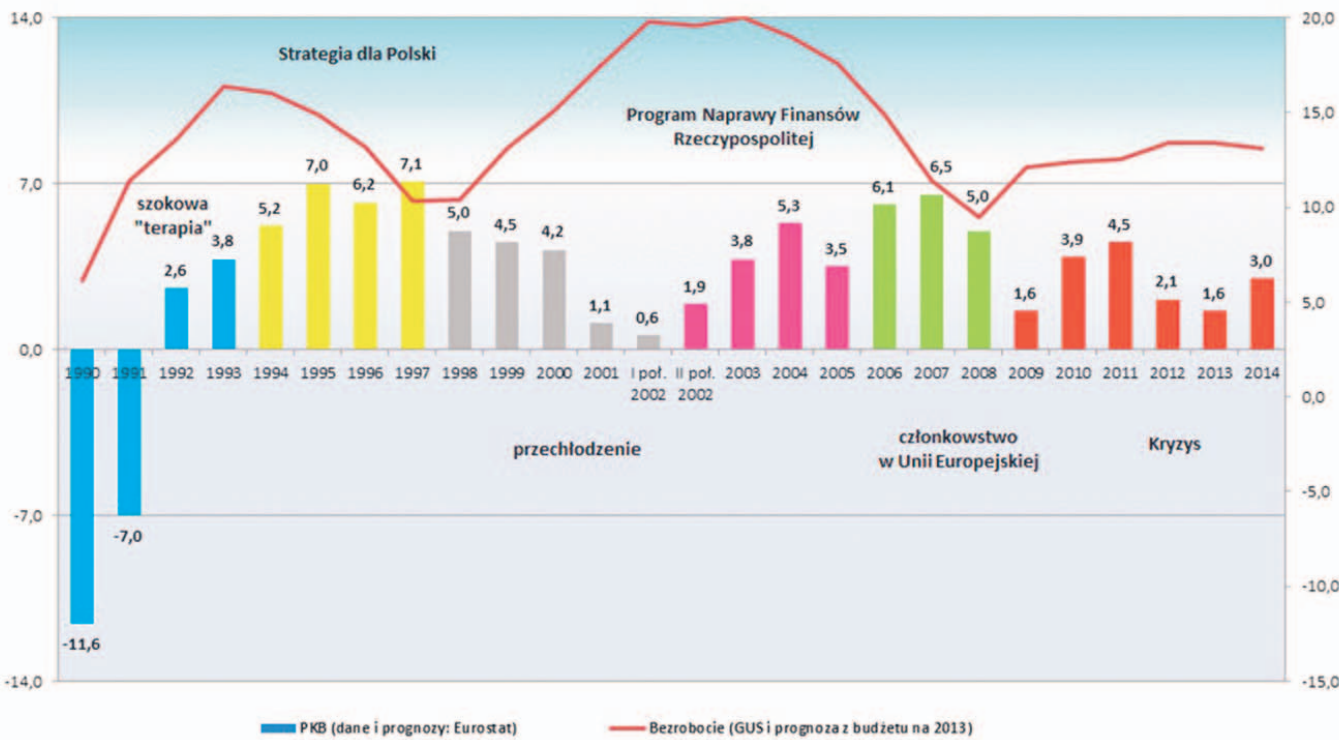


NEOLIBERALNY SZOK BEZ TERAPII



już istniejące zadłużenie zostało oprocentowane w stopniu, którego zdecydowana większość przedsiębiorstw po prostu w istniejących realiach nie była w stanie wytrzymać. Po drugie, ewidentnie został „przestrzelony” popiwek, który w pierwszym miesiącu został ustalony na poziomie 0,2, potem 0,3, a następnie 0,6 współczynnika korekcyjnego. Podatek od ponadnormatywnego wzrostu wynagrodzeń był gwarowo określany jako gilotyna, bo ciął ostro.

Stosowany był w sposób dyskryminacyjny wyłącznie wobec przedsiębiorstw państwowych, co było motywowane nie tylko pragmatycznie, lecz i ideologicznie. Instrument ten działał w taki sposób, że wolno było podnosić płace tylko o pewną frakcję stopy inflacji. Wskutek uwalniania cen i ich administracyjnych podwyżek w styczniu 1990 r. skoczyły one w górę aż o mniej więcej 60 proc. w porównaniu do grud-

nia 1989 r., a współczynnik popiwku wynosił 0,2. To znaczy, że płaca nominalna mogła wzrosnąć tylko o 12 proc. Wskaźnik kosztów utrzymania w tym miesiącu wynosi 160, a poziom dochodów nominalnych 112, a więc statystyczna płaca realna spada o zaiste szokowe 30 proc. $[(112/160 \times 100) - 100 = -30]$. To było ogromne „przestrzelenie” programu stabilizacyjnego, bo można było osiągnąć zamierzony cel dużo mniejszym kosztem.

Rozumiem, że chodzi tu nie tylko o dosłowne koszty, w znaczeniu ekonomicznym, lecz także o koszty społeczne.

– Tak, jak najbardziej. Co zdumiewające, niektórzy neoliberalni ekonomiści, jak na przykład Jan Winiński czy Adam Lipowski, uważają, że w ogóle to nie ma znaczenia, bo to żaden spadek płac realnych, gdyż ludziom odbiera się tylko fikcyjne płace. Tak, to nie jest spadek realnych płac, z jakim mamy do czynienia w klasycznym przypadku otwartej inflacji cenowej, kiedy to wzrost cen, obniżając siłę nabywczą płac, na bieżąco równoważy nominalne strumienie popytu i podaży. Faktycznie określona szerokością luki inflacyjnej część płac nie znajdowała pokrycia w masie towarowej i tak czy inaczej nie mogła być wydana, a więc po częściowej liberalizacji cen mieliśmy do czynienia z urealnianiem płac w tym sensie, że teraz już można było za nie coś kupić. Z czysto statystycznego punktu widzenia płace realne spadły jednak w całym 1990 roku o zatrażające 40 procent. Realnie zaś biorąc, wydatki konsumpcyjne zostały zredukowane na mniejszą, ale wciąż na ogromną – i większą, niż było to nieuniknione – skalę. Był szok, i to spory; nie starczyło tylko terapii... Cały ten zabieg polegał na tym, że to przecież nie „półki się zapełniły”, tylko „kieszenie stały się puste”. Na ulice wychodziło mniej ludzi, mniej strajковано niż uprzednio, bo ludziom agresywnie wmawiano, że „nie macie alternatywy”. To był już początek schyłku „Solidarności”, no bo przecież „miało być inaczej”.

Mylono się, czy kłamano?

A więc wyraźnie przestrzelone zostały cele dotyczące realnych stóp procentowych i urealniania płac – dwie ważne nominalne kowtwe programu stabilizacyjnego. Coś jeszcze? (s. 95-98)

Można zadać pytanie, czy autorzy i zwolennicy „terapii szokowej” wtedy się mylili, czy też najzwyczajniej kłamali, bo wiedzieli, że nie mieli racji. Szydził wręcz z tego później profesor Tadeusz Kowalik – ekonomista sympatyzujący ze środowiskiem „Solidarności” – pokazując, że Balcerowicz wykonał z nawiązką tylko swój plan zwiększania bezrobocia. Jakie były zapowiedzi jego „planu”? Recesja tylko przez jeden rok, spadek dochodu narodowego o 3,1 proc., bezrobocie nie większe niż 400 tysięcy i inflacja jednoprocetowa w skali miesięcznej – czyli rocznie 13-procentowa – już po trzech miesiącach. To tylko trzy newralgiczne punkty. Tym banialukom „szokistów” dawali wiarę niektórzy prominentni politycy pierwszej „pokomunistycznej” ekipy, najprawdopodobniej także Mazowiecki, Kuroń, Geremek. W rzeczywistości recesja trwała w sumie 12 kwartałów, czyli trzy lata, inflacja była jednoprocetowa nie po trzech miesiącach, ale dopiero w 1997 r., PKB spadł w sumie o 20 proc., a bezrobocie przekroczyło trzy miliony. Do tych drastycznie gorszych wyników niż zapowiadane przez pierwsze solidarnościowe rządy przyczyniło się jeszcze jedno „przestrzelenie”, a mianowicie nastąpiła nadmierna dewaluacja złotego.

Ale to akurat mogło być celowe.

– Nie sądzę. Na wspomnianej konferencji Instytutu Finansów we wrześniu 1989 r. o tym też dyskutowaliśmy. Przygotowaliśmy też notatkę dla ministra finansów, w której sugerowaliśmy – zresztą nie tylko my – mniejszą skalę dewaluacji. Wtedy rynkowy kurs złotego – nie czarny, lecz równoległy, bo został zalegalizowany jeszcze przez rząd Rakowskiego – wynosił 8 000–9000 z tendencją do wzmacniania. Ale rynkowy kurs równoległy był kursem marginalnym, krańcowym. Dotyczył jedynie małej części obrotów dewizowych. W sytuacji unifikacji kursu – a słusznie w tę stronę zmierzano – kurs równowagi był zdecydowanie wyżej. Mówiliśmy o 8 200–8500 złotych za dolara, ale i to pewnie było za dużo. Może też warto przypomnieć, że formułowano też postulaty przeciwstawne, sugerujące, aby pójść z dewaluacją jeszcze dalej, niż proponował to minister finansów. Na przykład Marcin Świącicki, który wtedy był ministrem współpracy gospodarczej z zagranicą, chciał 14 000 złotych za dolara. To dopiero byłaby „zabawa”. (s. 99-100) Powiadam więc znowu – po tym trudnym ćwierćwieczu transformacji – autorom „terapii szokowej” albo, jak wolę, szoku bez terapii: nie mieliście racji. Wolno było się mylić, gdyż obszar niepewności był olbrzymi, ale mogliście posłuchać ekonomistów mądrzejszych od siebie, mogliście wysłuchać zwolenników innych opcji, bo istniały i były głoszone. Jeśli pomimo to się myliliście, to powinniście się wstydić, bo porządni, prawdziwi zawodowcy aż tak się nie myślą.

Ale może kłamaliście, co też potrafię w jakimś stopniu zrozumieć, ale zaakceptować nie mogę. Co bowiem mieli powiedzieć ci, którzy wiedzieli, że ich „terapia” spowoduje załamanie produkcji przemysłowej i jej spadek o zatrażającą jedną czwartą, co pociągnie za sobą nie czterystatysięczne, lecz trzymilionowe bezrobocie? Co mieli powiedzieć rynkowi ci fundamentaliści, którzy spodziewali się, że wkrótce po „szoku” załame się budżet, a wysoka inflacja trwać będzie lata? Mieli powiedzieć prawdę? Wywieziono by ich wtedy na taczkach, mówiąc: nie po to robiliśmy solidarnościową rewolucję, żebyście teraz mówili, że będzie masowe bezrobocie, benzyna po dwa dolary, wódka po pięć, a mieszkania po pół miliona złotych. Miało być mieszkanie dla każdego w pięć lat, miało nie być kolejek, ale nie dlatego, że dochody zmniejszacie o 30 procent, ale z powodu wzrostu produkcji. A kolejek nie ma, bo nas po prostu nie stać na stanie w nich. Ponadto miało być małe, przejściowe bezrobocie, a teraz okazuje się, że jest masowe, strukturalne. Teraz nam mówicie, że to wszystko jest normalne? Gdyby powiedziano ludziom prawdę, to społeczeństwo nigdy nie zaakceptowałoby forsowanej wtedy polityki. Więc ci, którzy rozumieli, co robią i co z tego wyniknie, mogli świadomie i celowo z prawdą się mijać, traktując to jako jedyną skuteczną drogę polityki faktów dokonanych, która przecież nie mogła służyć dobrze polskiej gospodarce. (s. 111–112)

”

Powiadam więc autorom „terapii szokowej” albo, jak wolę, szoku bez terapii: nie mieliście racji. Wolno było się mylić, gdyż obszar niepewności był olbrzymi, ale mogliście posłuchać ekonomistów mądrzejszych od siebie, mogliście wysłuchać zwolenników innych opcji, bo istniały i były głoszone. Jeśli pomimo to się myliliście, to powinniście się wstydić, bo porządni, prawdziwi zawodowcy aż tak się nie myślą